

LEON GOZLAN.

AMATOR

4)

— Wasza Eminencya powraca do tego samego wachania, do tych pół słów pochwalnych, które przynajmniej tyle robią zleżo, ile dobra, chociaż ostra krytyka. Niech wasza Eminencya zechce wybaczyć, że do niej z taką wolnością się odzywam, tu tylko jest amator wobec amatora. Pan posiadasz zbiór obrazów flamandzkich; ale czyż mój nie jest większy od pańskiego?

— Zapewne panie kawalerze.

— Czyż moje obrazy nie są tej samej wartości co i pańskie?

— Tej samej panie kawalerze, tej samej.

— A więc wasza Eminencyo, cóżby?...

— Podróżowałem we Włoszech — mówił spokojnie kardynał, podczas kiedy pan siedział w Holandii.

— A... pan podróżował we Włoszech... zapewne z religijnych jakich powodów.

— Owszem, z malarskich panie kawalerze. To też panie od czasu tej podróży moja namietność do malarzy flamandzkich ogromnie się zmniejszyła.

— Pan? który tak się kochał w malarzach flamandzkich.

— Za wiele może. Pan Bóg mnie ukarał za to. Nie trzeba za bardzo kochać się w ziemskich rzeczach.

— Szkoła flamandzka jest więcej niż ziemską rzecz, nie można jej za bardzo kochać, wasza Eminencyo!

Kardynał wznosząc ręce, zawołał:

— O ziemio włoska! ziemio włoska! ojczyzno malarzy!

— Ależ Flamandczykowie?

— Ziemio malarzy wielkiej manery!

— Ależ Flamandczykowie?

— Malarzy poprawnego rysunku!

— Ależ Flamandczykowie, flamandczykowie Wasza Eminencyo?

— Miałem ich dwudziestu, kawalerze.

— Wiem o tem, wasza Eminencyo.

— To było wiele, było za wiele może. Od tego czasu widziałem: Guida, Veronesa, Leonarda da Vinci, Corregio, Alana.

— Ależ Flamandzcy, wasza Eminencyo.

— Flamandczykowie! flamandczykowie! Przekonałem się nareszcie, jak słusznym było zdanie Ludwika XIV go, człowieka z gustem, który widząc Teniersów, rzekł: „Weźcie mi z przed oczu tę chłiszczyznę”.

— Chłiszczyznę!... Ludwik XIV dał takie nazwanie malarzom flamandzkim?...

— Tak... i najlepszym z malarzy flamandzkich, bo Teniersowi. Wierzą mi kawalarze, Ludwik XIV miał słusność: Flamandczykowie nudzą mnie, mordują. Kto z nich jednego widział, ten już wszystkich poznał.

— Eminencyo! — zawołał kawaler Dardennes, przyprowadzony do ostateczności, chociaż jego rozpaczliwy wykrzyk nie przeszkodził kardynałowi tak dalej mówić:

— Ktoż z amatorów, trochę więcej wytrawnych, ośmieliłby się okazywać gabinet utworzony z samych obrazów flamandzkich, nie przegrodiwszy je włoskimi, które są najpiękniejszymi arcydziełami świata. Byłoby to zapieścić piwnicę piwnicę piwem, wysortowawszy z niej Bordeaux, szampańskie i Tokaj. Chłiszczyzna, chłiszczyzna, chłiszczyzna, ta cała szkoła flamandzka.

Kawaler stracił już całą swoją krew:

— Panie kardynale — rzekł — zapominasz się pan, że będąc u mnie, jesteś we Flandryi, i że...

— Chłiszczyzna, chłiszczyzna — pomrukiwał ciągle kardynał, wsłuchując do pojazdu. A odjeżdżając wołał jeszcze na kawalera:

— Panie Dardennes, wspomnisz jeszcze moje słowa i przyznasz sam, że to chłiszczyzna.

— A ja — pomyślał sobie kawaler, kiedy już sam pozostał — a ja narażałem się na zaraze morową, burze morskie, kuchnię z masłem i prawnuczki Mierysa, na śledzie smażone i dowlipy holenderskie, żeby zaopatrzyć się w dwieście obrazów flamandzkich. A tu taki kardynał tak o nich śmie mówić.

Nikt nie jest tak wrażliwym, jak amator starych obrazów. Jest on gatunkiem poety. Dajcie mu pokłask, będzie sądził, że jego dzieło jest

doskonałością, zgańcie go, będzie myślał o utopieniu się z rozpacz.

Trzeba także dodać, iż zdanie takiego człowieka, jak kardynał Temporani, było aktem wiary dla kawalera, który nazajutrz ze swojej strony mógł być wypłać podobną sztuczkę, niweczając przekonanie innego jakiego amatora obrazów. Ale kawaler był za dobrodusznym na to. Jakież interes? zapyta ktoś, mógł mieć kardynał, żeby tak obrzydzić kawalerowi Dardennes galerię z takim trudem zebraną. Jakież interes? Trzeba chyba nigdy nie mieć chęci do nabycia takiej ciekawości, nie znać alfabetu amatorstwa starych rzeczy, nie mieć żadnych słuszków z jakim właścicielem starych obrazów, żeby nie wiedzieć, że takiemu człowiekowi mniej daleko chodzi o swoją własną korzyść, jak o wyświadczenie krzywdy koledze. Temporani miał dwa cele, odbierając kawalerowi Dardennes całe złudzenie co do jego galerii, pierwszy, żeby go ogołocić z tych przepysznych obrazów flamandzkich, których on, kardynał Temporani, nie posiadał ani w takiej ilości, ani doborze; drugi, żeby mu nasłodzić zamiar zastąpienia ich przez obrazy szkoły włoskiej, co musiało być połączone z niesłychanymi trudnościami.

Miesiąc po widzeniu się z kardynałem Temporani kawaler Dardennes ogłaszał sprzedaż swoich obrazów flamandzkich, na których pół na pół stracił.

Marzył już tylko o Włochach, Michale Aniele, Rafaelu, Carlo Dolci, Veronezie i Corregiu. Ale coż znaczyło mizerne 200.000 franków, było to owe pół ceny, które odebrał za swoją galerię, aby wejść w zapasy ze szkołą włoską? — Muszę mieć przynajmniej drugie tyle — pomyślał sobie. Nie sprzedawał on wprawdzie od razu zamku swoich przodków, żeby uzyskać owe dodatkowe 200.000 franków, nie sprzedał tego zamku, którego zachowanie ojciec na łożu śmierci ostatnią wolą mu nakazał, ale zapożyczył 200.000 franków na tę świętą nieruchomość. W kilka miesięcy potem opuszczał znowu Francję, ale smutny, niedowierzający, zaszponiony tym razem; opuszczał swój kraj jako szuler, a nie jako kochanek. Wsiadłszy na okręt w Marsylii, popłynął do Liworno.

Był to więc druga podróż naszego bohatera, której celem było wyszukiwanie arcydzieł szkoły włoskiej, ale nie był to już ów młody człowiek, który wyjeżdżał z Marsylii do Antwerpii, z sercem przepełnionym złudzeniami i poezją. Wszystkie jego złudzenia znikły, skoro się dowiedział, że to właśnie kardynał Temporani nabył od niego po tak niższej cenie owe obrazy flamandzkie, do których sprzedaży sam go namówił. Nie było szlachetnie jak na kardynała, ale tutaj amatora słowo przeważało, gdyż on sam, on, kawaler Dardennes, nie udał się kiedy do takich podstępów i przewrotności? Ktoż może przyszłość przewidzieć?

Genewa, Neapol, Wenecja zajęły wkrótce całkowicie umysł naszego bohatera. Przyznał nareszcie, że kardynał miał cokolwiek słusznosci, wynosząc tak pod obłoki szkołę włoską, ale jednak nieraz zdarzało mu się szemrać potajemnie: „Gdzie wy teraz moje pocziwe flamandzkie oryginały”.

Jeżeli nie spotkał tutaj na swojej drodze, tak jak za przybyciem do Antwerpii, potomków Gioffa, Perugina, Michała Anioła, to za to jakiś go zamęt ogarnął, kiedy zaczął, stanawszy u celu podróży, skupowanie obrazów wszystkich trzech szkół włoskich, bo musiał ciągle błądzić wahać się pomiędzy różnorodnymi zdaniem artystów, największych nieuków w świecie, kiedy idzie o naznaczenie nazwiska autora jakiego starego obrazu i kramarzy obrazów, największych oszukańców na całej kuli ziemskiej.

— Czyż to obraz?

Odpowiadano mu:

Rafała pierwszej manery.

— A ten?

Rafała drugiej manery.

— A ta Madonna niedokończona?

— Rafała przed poznaniem się jego z Michałem Aniołem.

— A ten bambino.

— Rafała po poznaniu się z Michałem Aniołem.

Wszystko to nie mogło się pomieścić w głowie biednego kawalera, który ciągle wykrzykiwał: „A coż to za dziwny kraj, w którym wszystkie obrazy są Rafała, co nawet czterdziestu lat nie dożył”.

Tak jednak wszyscy sprzedający utrzymywali. Jeżeli zaś radził się artystów o prawdziwą wartość obrazów, żeby sobie sprawdził sąd o nich wyrobić, odpowiadano mu: „Ten Rafael wart jest sześć franków, ten ma zaledwie wartość płótna, na którym jest malowany, a tamten tej nawet wartości niema”.

Przez całe dziesięć lat musiał tylko ciągle słuchać tych zdań przeciwnych sobie, które go o mało co do pomieszenia zmysłów nie doprowadziły. Powtarzamy przez lat dziesięć, a to dlatego, żeby każdy mógł się przekonać, jak zupełnie namietność, jakiej kawaler Dardennes był oddany, zajmuje życie człowieka. W sercu takich ludzi niema już żadnego kąta ani dla ambicji, ani dla przyjaźni, ani dla miłości. Trawią oni noce na czytaniu spisów sprzedawanych rzeczy, a dni na bieganiu po licylacyach.

Nareszcie szczęście zabiło naszego bohatera.

Margrabina Mateo umarła w Wenecji, nie zostawiając po sobie żadnych krewnych; jedynym jej dziedzicem był jakiś młody człowiek, Niemiec rodem, który się znał na sztukach pięknych tyle prawie, co nieboszczyk bucentaur. A jaką piękną galerię zostawiła po sobie margrabina Mateo! Prawdziwych Peruginów, prawdziwych Albanów, prawdziwych Rafaelów, prawdziwych Carrachów, prawdziwych Carravagów, prawdziwych Dominiquinów, bo pomimo wszystkich amatorów i kramarzy na świecie, istnieją jeszcze gdzieś niedziedziczone oryginalne obrazy wszystkich mistrzów. Za drobnośkę 1.200.000 franków kawaler zakupił całą galerię nieboszczyka margrabiny. Kiedy mu oddano klucze od tej galerii, rzekł z radością: „Straciłem wprawdzie lat dziesięć życia, ale posiadam teraz najrzadszą, najautentyczniejszą galerię w całych Włoszech i dodał: „kardynale Temporani, znam ja ciebie już dobrze teraz, ale umrzesz z radości, jak ujrzyś galerię, którą ja z sobą z Włoszech przywiozę”.

Więc kawaler Dardennes, jak łatwo się domyślić, nie miał nic pilniejszego, jak udać się do swojej galerii i zająć ją w posiadanie, jako jedyny i wyłączny jej właściciel, po zapłaceniu żądanej za nią sumy. Kochanek nie biegł z taką niecierpliwością na pierwszą schadzke z ubóstwioną, urzędnik nawet nie jest tyle niecierpliwy przybrać się w mudur nowego stopnia, który otrzymał.

Czterech oficerów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a wszyscy czterej czerwono przybrani, czekali u drzwi tej galerii, którą za tak piękne i gotowe pieniądze zakupił. I tak się odezwali do kawalera:

— W imię rzeczypospolitej, pan nie wejdiesz.

— Jakto nie wejść, czyż panowie chcecie się śmiać ze mnie?

— Niech pan się dowie tedy, kiedy to jeszcze panu nie jest wiadomem, że najjaśniejsza Rzeczpospolita nie ratyfikuje takich kontraktów jak pański, ponieważ ona uważa jako własność narodową wszystkie galerie obrazów, znajdujące się w Wenecji. Pan nie masz prawa tej galerii zabierać, tak jak pan nie masz prawa zabierać Lwa św. Marka.

A więc kawaler Dardennes chcąc nie chcąc musiał się oddać. Odwołał się on od tego wyroku; negocjacje trwały nader długo; naprzód dlatego, że prawo jest wyraźne i to prawo trwa jeszcze dotąd, powtóre, że dziedzic margrabiny który był sprzedał ową galerię kawalerowi, przewidując trudność, zaraz po podpisaniu kontraktu umknął z Wenecji.

Oto sposób, który wynaleziono, żeby pogodzić uszanowanie winne ustawom krajowym, z prawami obywatela francuskiego: ustępowano kawalerowi galerię Mateo, pod tajemnym jednak warunkiem, że w najgłębszej tajemnicy każe kolejno porobić kopie tych wszystkich obrazów i w miarę przewożenia oryginałów do Francji, zastępować je temi kopiami.

Ta podstępna zamiana, która od kilku wieków ciągle w Wenecji mieła miejsce, trwała sześć lat przeszło. Nareszcie galeria Mateo została całkiem przemalowaną i każde arcydzieło zostało zastąpione przez kopię. Co nie przeszkadza Wenecyanom dziś jeszcze zamieszczać w „Przewodniku dla podróżnych”: „Każdego dnia od dwunastej do drugiej, wyjawszy jedynie niedziele i święta, można oglądać nieporównaną galerię margrabiny Mateo”.

Nareszcie kawaler zdolał przewieźć do Francji, bez wielu wypadków i uszkodzeń całą galerię nieboszczyka margrabiny.